



Kryminał z myszką

61

MARŁYM WSTĘP WZBRONIOŁY

M a r i a n
B u t r y m

Marian Butrym

UMARŁYM WSTĘP WZBRONIONY

Kryminał z myszką – Tom 61

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-55-3

Copyright © Spadkobiercy Mariana Butryma

Tekst: Iskry, Warszawa 1972 (Ewa wzywa 07, nr 50)

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Utartym zwyczajem i na wszelki wypadek chciałbym uprzedzić, że treść książki jest fikcją, a wszelkie podobieństwa opisanych wydarzeń do rzeczywistości są absolutnie przypadkowe. Niczego to wprawdzie nie zmieni, ale na pewno takie zastrzeżenie będzie z korzyścią dla dobra sprawy, wszystkich zainteresowanych i świętego spokoju. Jeżeli jednak jakiegokolwiek opisane w tomiku fakty przypominają rzeczywiste – tym gorzej dla faktów.

1

Istnieje całkiem pokaźna lista rzeczy, które lubię. Lubię dobrą kawę, dni wypłat, muzykę jazzową (a zwłaszcza Coltrane’a) i parę innych rzeczy. Zresztą każdy z nas ma swoje upodobania i nie mnie opowiadać, że jest inaczej. Równie bogata, a może nawet bogatsza, jest moja lista rzeczy nie lubianych, wzbogacona o nazwiska paru facetów, których ze zrozumiałych względów nie wymienię.

Ale jednej rzeczy cholernie nie lubię.

Nie lubię telefonów o trzeciej w nocy, nawet gdyby dzwoniła Brigitte Bardot z prośbą o moją rękę. Dźwięk dzwonka o tej porze przypomina mi raczej huk trąb kruszących jerychońskie mury niż wynalazek pocziwego staruszka Bella.

A właśnie tej nocy zadzwonił telefon.

– Halo, słucham! – wygłosiłem obrzędową formułkę, głosem cierpiącego na astmę Frankensteina.

– Posłuchaj, syneczku – usłyszałem znajomą chrypkę szefa. – Nie patrz na zegarek, sam wiem, że dochodzi trzecia. Ale nie mam nikogo innego. Mamy zabójstwo. W restauracji „Piaś”. Samochód będzie u ciebie za kwadrans. Techników już wysłałem. Masz jakieś pytania, syneczku?

Nie miałem pytań.

Na dobrą sprawę, o co właściwie mogłem zapytać? Dlaczego wysła mnie, a nie któregoś z oficerów wydziału? Znam kilku o podobnych kwalifikacjach. A może miałem powiedzieć, że mam ochotę przespać się do rana? Mój Boże, kto jak kto, ale pułkownik Gonczar wiedział doskonale, jaki tryb życia prowadzą ludzie, którzy wpadli na pomysł zostania milicjantami. Zresztą pułkownik także nie spał tej upiornej nocy. Przy okazji dodam, że są na tym świecie ludzie, których zawsze trzeba traktować serio i którym nie stawia się zbędnych pytań.

Pułkownik Gonczar należał do takich ludzi.

Nazywam się Piotr Morski i jestem oficerem milicji. W mojej karierze w wydziale zabójstw dorobiłem się już czterech gwiazdek kapitana, odpowiednio wysokiej pensji i jednej rany postrzałowej. Trochę niewiele jak na trzydziestodwuletniego mężczyznę. Do listy sukcesów mógłbym jeszcze dodać dyplom za zajęcie trzeciego miejsca w strzelaniu na spartakiadzie służb bezpieczeństwa krajów socjalistycznych oraz kilka pochwał od znanego już wam szefa. Te ostatnie wymieniam, bowiem Stary – jak go nazywamy w wydziale – chorobliwie oszczędza na pochwałach, a poza tym jest wymagający i czasem zniecierpliwiony jak większość szefów. Ale wiecie, że bywają szefowie lubiani mimo swoich wad, a nawet tacy, za którymi – jak to mówią – poszłoby się w ogień.

Taki jest właśnie mój szef.

Rzadko kiedy rozmawiając z nami używał stopni lub nazwisk. Przeważnie mówił „syneczku”, bez przerwy zapalając gasnącą fajkę; inna sprawa, że gdyby Neron tak długo podpalał Rzym – miasto zajęłoby się dopiero teraz. Jednym słowem, jeżeli istnieje ideał szefa i jeżeli istnieją szefowie idealni przy takich podwładnych jak ja, co jest trudne, ale nie niemożliwe, to pułkownik byłby jednym z faworytów w konkursie ideałów. Tak czy inaczej, nie lubił żartować w sprawach służbowych i przeważnie wiedział, czego chce.

Dlatego nie miałem pytań.

– Nie mam pytań, obywatelu pułkowniku – wyrecytowałem, z odpowiednią dozą nieźle udawanej rzeźkości w głosie.

– Pięknie – zachrypiała słuchawka. – Wobec tego przetrzyj oczy i bierz się do roboty! No to do jutra... do rana, syneczku – powiedział na pożegnanie i odwiesił słuchawkę.

Ja też.

2

Kabina telefoniczna mieściła się na końcu długiego korytarza, za szatnią, a przed toaletami. Tuż przy szatni znajdowały się obrotowe drzwi, łączące restaurację z hallem przy wejściu, z którego można było swobodnie wyjść na ulicę i zniknąć w tzw. sinej dali. Restauracja miała, oczywiście, drugie wyjście. Wspominam o tym dlatego, że sala restauracyjna była prawie zupełnie pusta, a kręciło się po niej jedynie kilka osób z personelu. Goście, po zorientowaniu się w sytuacji, w przyspieszonym tempie opuścili lokal, nie czekając na przybycie milicji. Nie dziwiłem im się zbytnio; sam na ich miejscu zrobiłbym tak samo. Martwiło mnie jedynie, że pośród tego tłumu opuścił prawdopodobnie lokal osobnik, któremu zawdzięczałem nocną pobudkę i z którym powinienem się spotkać jak najszybciej, chociaż będzie on ostatnim z ludzi marzących o randce ze mną.

I jeszcze jedno.

W kabinie telefonicznej znajdował się mężczyzna, który kurczowo ścisnął w rękę słuchawkę telefonu. Ale pozycja, w jakiej się znajdował, dobitnie świadczyła, że już nigdy do nikogo nie zatelefonuje.

Dookoła panował twórczy bałagan, jak zwykle w takich sytuacjach. Technicy dochodzeniowi w milczeniu pakowali już swoje przyrządy i jedynie fotograf od czasu do czasu błyskał fleszem. Na mój widok szef ekipy technicznej, łysawy sierżant Janicki, machnął ręką z rezygnacją, której starczyłoby na obdzielenie tuzina samobójców i jeszcze zostało na potem.

– Co, nic nie znaleźliście? – zapytałem.

– Jakies zamazane odciski palców. Ten lokal sprzątno ostatnio chyba w ubiegłym wieku. A przy denacie prawie nic. Żadnych dokumentów... tylko jakies śmiecie i trochę pieniędzy. Dokumentację mamy gotową.

– A poza tym?

– Jeśli ma pan na myśli strzępki tkanin, guziki, niedopałki, klucze, rękawiczki i inne drobiazgi, które mordercy pozostawiają normalnie na miejscu zbrodni, to nic z tych rzeczy nie znalazłem – odparł ponuro sierżant.

On także nie spał tej nocy.

Było tego trochę za mało jak na moje wymagania, ale od czegoś trzeba zacząć. Zresztą często tak zaczynaliśmy. Strzępki śladów, okruchy informacji i bańki mydlane poszlak, które pękały, zanim zdążyły nabrać realniejszych kształtów. Żmudne analizowanie dwudziestorzędnych szczegółów i zniechęcenie, gdy okazywało się, że nic nie znaczą. Nieraz dziesiątki ludzi pracowały w pocie czoła, aby uzyskać pewność, że znowu popełniono błąd. I cała zabawa zaczynała się od początku, a wszystko po to, aby znaleźć ślad wiodący do przestępcy. Słowem, zwyczajna milicyjna robota, przy której trudno było o efektowne, błyskawiczne sukcesy. Daję słowo, że nic wesołego.

– Ja na dzisiaj skończyłem – sierżant ziewnął serdecznie. – Doktor zdaje się też... – dodał na widok podchodzącego lekarza.

– A ja zaczynam – podtrzymałem sympatyczną wymianę myśli. – Jaki werdykt, doktorze?

– Nie żyje mniej więcej od godziny – powiedział lekarz. – Szczegółowy protokół prześlę po sekcji. Ale nie zazdroścę panu zajęcia. Wyjątkowo paskudna sprawa.

– A może zawał? – spytałem z nadzieją.

– Może i zawał – westchnął lekarz. – Ale przede wszystkim zaostrożony drut do robótek ręcznych wbity prosto w serce.

– Dziańiny są teraz modne – zauważył filozoficznie Janicki. – Takich drutów mamy w Polsce miliony. A na pocieszenie, kapitanie, powiem panu, że zajmujemy się nie tylko tym, co znaleźliśmy przy denacie, ale tym, czego nie było. Widocznie ktoś przeszukał kieszenie naszemu bohaterowi. W pośpiechu mógł o czymś zapomnieć. Szczegóły jutro, a teraz dobranoc, panowie, na mnie już czas.

– Na mnie również – obudził się z zamyślenia lekarz. – Zabieramy ciało. A swoją drogą pański morderca to wyjątkowo wyrafinowany facet.

– Albo facetka – zauważyłem.

– Nie, to zrobił mężczyzna – powiedział lekarz. – Do takiej zbrodni potrzeba dużej siły. Zresztą ślicznie to wszystko panu opiszę. No to na razie, kapitanie.

Przyglądałem się wynoszeniu zwłok. Zanim przykryto je białym prześcieradłem, ujrzałem twarz zamordowanego. Koszmarna maska wykrzywiona grymasem bólu. I ten wyraz zaskoczenia czy zdziwienia zastygły na twarzy... Trudno uwierzyć we własną śmierć. Życie, jakie by ono nie było, warto jest, aby przeżywać je jak najdłużej. A on dopiero na sekundę przed śmiercią zorientował się, że umiera.

Może nawet i jeszcze później.

Poczułem w krtani dławiący, lodowaty uścisk strachu...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI